

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i za granicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

GROMADY GWIAZD.

POGADANKA NAUKOWA,



d czasów niepamiętnych spostrzegli ludzie, że gwiazdy, rozsypane na niebie, nie są zupełnie jednako- we, jedne świecą jaśniej i wydają się większe, inne, znacznie bledsze, wyglądają też jakby były mniejsze, chociaż naprawdę nie pod- obna oznaczyć rozmia- rów gwiazd, tak jaśniej- szych, jak i naj- bledszych, dla oka na-

są tylko świecącymi punkcikami, bez żadnej wielkości

A jednak, przypatrując im się uważnie, można

śmiedzy sobą rozróżnić i każdą z osobna roz-

poznają się w tem samym miejscu na skle-

pieniu niebieskiem, a raczej zawsze mają toż samo położenie względem siebie. Któż o tém nie wie, że gwiazdy tworzą na niebie jakby figury, których kształt nigdy się nie zmienia, są to tak zwane gromady gwiazd, gwiazdozbiory czyli konstelacje.

W skutek obrotu ziemi około swojej osi i naokoło słońca, postać gwiazdzistego nieba ustawicznie się zmienia, i w ciągu każdej nocy, i w ciągu roku. Niektóre gwiazdy, podobnie jak słońce w dzień, wschodzą, to jest wyu- rzają się z poza linii widnokregu, przesuwiają się ponad głowami naszymi i w stronie przeciwnej zachodzą. Lecz kształty gwiazdozbiorów nie zmieniają się dla tego, bo ruchy te odbywają się w taki sposób, jakgdyby całe sklepienie niebieskie, z tkwiącemi na niem nieruchomo gwiazdami, obracało się szybko wirowym ruchem co nocy i przesuwało zwolna przez rok cały. Zupełnie tak samo zdaje się nam i w dzień, że słońce wschodzi rano, podnosi się, potem spuszcza się niżej i zachodzi, a w różnych porach roku wschód i zachód w różnych godzinach przypada. Wiemy jednak wszyscy, że to nie słońce tak wędruje po niebie, tylko ziemia się obraca i krąży w przestrzeni, ilekroć zaś pomyślimy o tém, zawsze przypominamy sobie wielkiego rodaka naszego Kopernika, który tę prawdę odkrył i obwieścił światu.

Jest jednakże punkt jeden na niebie zupełnie nierucho- my, a to biegun północny nieba, gdybyśmy mogli oś ziem- od jej bieguna przedłużyć do téj wysokości, którą on wydaje sklepieniem niebieskiem, to koniec téj o- oparłby się na owym nieruchomym punkcie. O-

gwiazdy pozornie naokoło tego punktu biegunowego się obracają, a te, które są najwięcej do niego zbliżone, nigdy nie wschodzą i nie zachodzą na widnokręgu, lecz przez całą noc i przez rok cały są widzialne. Poprobujemy tę część nieba opisać tak dokładnie, aby każdy mógł rozpoznać główne gwiazdozbiory i znacznie gwiazdy pojedyncze pomiędzy niemi.

Choćby kto nigdy nie uczył się astronomii, z pewnością jednak zna gromadę gwiazd, zwaną Wozem lub Niedźwiedzicą. Wygląda to rzeczywiście jakby wóz o czterech kołach z długim dyszlem. Spróbujmy przez dwa tylne koła Wozu przeciągnąć linią prostą, mniej więcej pięć razy tak długą, jak odległość tych kół pomiędzy sobą, a natrafimy na gwiazdkę niezbyt świetną, do drugiej wielkości zaliczoną, która jednak znakomite stanowisko zajmuje na niebie. Jest to gwiazda Biegunowa, tak nazwana, gdyż blyszczy w miejscu niezmiernie zbliżonem do punktu biegunowego i z tego powodu przez całą noc tkwi całkiem nieruchomo na sklepieniu niebieskiem i oznacza najdokładniej północną stronę świata. Żeglarz na morzu, wędrowiec zbłąkany na ziemi, może odszukać drogę, kierując się według owęj gwiazdy Biegunowój, idąc w jej stronę, z pewnością dążyć będzie ku północy, obracając się do niej tyłem, trafi na południe, a tém samym i wschód i zachód odszuka z łatwością.

Gwiazda Biegunowa tworzy koniec dyszla drugiego wozu, trochę mniejszego, zwróconego w stronę przeciwną. Mamy więc już dwie gromady gwiazd: Wielki Wóz, czyli wielką Niedźwiedzicę i Mały Wóz, czyli Małą Niedźwiedzicę. Idźmyż teraz dalej. Od gwiazdy, która w Wielkim Wozie oznacza początek dyszla, przeprowadźmy linią prostą aż do gwiazdy Biegunowój i przeciągnijmy ją dalej, a natrafimy na gromadę, złożoną z pięciu gwiazd, podobną nieco do litery M, lub do krzeselka wygiętego. Jest to Kasiopea, zawsze ją znajdziemy z łatwością naprzeciw Wielkiego Wozu, po drugiej stronie gwiazdy Biegunowój.

A teraz pociągnijmy tę linią dalej jeszcze w tym samym kierunku, aż póki nie przetnie dwóch gwiazd, które z dwiema innymi tworzą czworokąt. To gwiazdozbiór Pegaza. Od tego czworokąta ciągną się w kierunku ukośnym trzy świetne gwiazdy, tworząc coś nakształt dyszla u wozu. To już osobny gwiazdozbiór, zwany Andromedą. Przypatrując się uważnie, obaczycie w tém miejscu, ponad pierwszą z trzech gwiazd, obłoczek mglisty, czyli mgławicę, która także się nazywa mgławicą Andromedy. Końcowa gwiazda Andromedy z dwiema bliższymi po obu stronach tworzy rodzaj łuku, lekko wklęsłego, to znów osobny gwiazdozbiór Perseusza. Niezbyt daleko od Perseusza, ku południowi, napotkamy świetną gromadkę gwiazd rozsypanych bezładnie, to Plejady, przez lud przezwane Kwoczką z kurczętami.

A teraz poszukajmy gwiazd pierwszej wielkości. Powróćmy do Wielkiego Wozu; tam, gdzie dyszel jego się zakrzywia, przez dwie ostatnie gwiazdy przeprowadźmy linią i ciągnijmy w tym samym kierunku, póki nie natrafimy na gwiazdę większą i jaśniejszą od wszystkich otaczających: to będzie Arktur, jedna z najświetniejszych gwiazd. Arktur czony na samym końcu wydłużonej figury, zwanęj Korony. W pobliżu, na lewo, znajduje się Korona Północna, wieńca ze świetnych gwiazdek.

Przeciągnijmy znów linią prostą od Arktura do gwiazdy, którą rzućmy okiem wyżej, ponad tę linią, tam,

biżej nieco Arktura aniżeli Biegunowój, obaczymy pierwszą gwiazdę pierwszej wielkości, która z tami dwiema tworzy trójkąt nierówny. Ta gwiazda nazywa się Wega i z k. m. niemi składa gromadę Lutni. Na linii, idącej od Arktura do Wegi, leży gwiazdozbiór Herkulesa. Pomiędzy Wielkim i Małym Wozem wije się nakształt łańcucha dług szereg gwiazd, przezwany gromadą Smoka.

Jest jeszcze jedna świetna gwiazda pierwszej wielkości z którą się warto zapoznać, a zawsze Wielki Wóz służyć nam będzie za przewodnika. Przeciągnijmy linią przez te dwa koła, które idą prosto od dyszla, przedłużmy tę linię w tył, a napotkamy w końcu jasną, piękną gwiazdę, podobną do Wegi i Arktura. Jest to tak zwana Koza, należy do gromady Woznicy.

Wszystkie te gwiazdozbiory, któreśmy tu wyliczyli, rozłożone dokoła gwiazdy Biegunowój, w północnej części nieba, zawsze są widzialne, możecie więc z łatwością je odszukać według podanych wskazówek. W następnych pogadankach opowiemy wam jeszcze różne szczegóły zajmujące, i o nich i o innych ciałach niebieskich.

M. J. Z.

NOWY ROK.

Już na wielkim lat zegarze
Północ zbliża się doroczna,
W mrok zapada przeszłość mroczna,
Przyszłość wschodzi w rześwym gwarze.

Świat ją chórem wesół wita,
Ona barwny tłum nadziei
Sypie wszystkim po kolei,
Uśmiechnięta, cicha, skryta.

Więc nadziei barwne kwiaty
Każdy chciwie sobie garnie,
A tymczasem chwilki marnie
Bieżą w przeszłość, poza światy.

Z czasem wędnic złudy kwiecie,
Kiedy lotny rok dobiega,
Człek omyłkę swą spozstrzega,
Lecz już mija rok na świecie.

Otóż skoro los tak prędzie,
Zaprześcimy wierzyć złudzie,
Korzystajmy z chwilek w trudzie,
A pożytek pewnie będzie.

M - a.

Młoda podróżniczka w Ojcowie

Z LISTÓW KOCI DO KAZIA,
przepisała Zofia Grabkowska.

(Dalszy ciąg).

III.

Po wczorajszej wycieczce, odpoczywałam dziś całkiem z Broncią w hamaku. Przyjacielu Kaziu! czy ty też masz hamak i czy doznałeś kiedyś przyjemności leżania

ędzy niebem, a ziemią? Przypuszczam, że nie, bo wielka rzeczywiście przyjemność, ale znów, gdyby tak ty młodzieniec spędzał codzien, lub choćby raz eń parę godzin na leżeniu, oznaczałoby to brzydką, której pewno nie posiadasz, lenistwo. Jakkolwiek mógłbyś, i to słusznie, nam ją także przypisać, nie rzucaj na nas kamieniem, póki ci nie powiem, że robimy to z przepisu doktora.

Codzień, jeżeli tylko pogoda służy, spożywszy śniadanie w altance, Bronka i ja zarzucamy hamaki na plecy, idziemy do lasu śliczną ścieżką, która poczynając się koło naszego domu, pnie się coraz wyżej w górę, póki nie zginie gdzieś w świerkowych i jodlowych gęstwiach. Tam wybrałyśmy sobie raz na zawsze cztery jedliny, na których zawieszamy nasze kołyski ze sznurów. A jak tam przyjemnie czas schodzi! Zakryte same drzewami, widzimy doskonale wszystko, co się u stóp naszych dzieje. Nad nami olbrzymie drzewa rozpięły parasol z gałęzi, których balsamiczną woń wciągamy chciwie w piersi; przez splecione gąszcze śmieje się do nas błękit nieba i słońce, złowione w siatkę, złote iskry rzuca na nasze głowy.

Leżąc tam, gawędzimy trochę, układamy plany wycieczek, czytamy nawet bardzo poważne książki i jest nam tak łobrze pod strażą „dobrego olbrzyma“, którego pierś kamienia widnieje wśród zieleni, że już lepiej być nie może, choć się tem gorszy znajomy nasz p. Stanisław z Warszawy, który od rana do nocy po skałach i urwiskach poszukuje *ostnicy piezostej* (stipa pennata). Kuzynka Jadwiga, która nie zna, o to jest odpoczynek po ciężkiej pracy i choć troszeczkę leśnictwa, ze zgrozą patrzy na hamaki i za nicby się w nich nie położyła; tylko zapomniawszy całkiem, że to wakacje, zawzięcie po gospodarskich trudach suszy rośliny, zakłada zielniki, orządkuje zebrane minerały, lub szpera po starych książkach: stny... mól książkowy.

Nasi znajomi obiecali nas odwiedzać w tych zielonych łąkach i dziś pierwszy dotrzymał słowa kochany profesor. Jak on nieoceniony! Przyszedł nam zaproponować spacer o Grodziska i prosił o zabranie siebie, jako przewodnika, który za to opowie znów wszystko, co tylko wie, o pustelni -tej Salomei.

Naturalnie, że nietylko my, ale i ciocia z Jadwisią ten projekt z wdzięcznością i radością przyjęły i zaraz po obiezie wyruszyliśmy w drogę. Idąc do Grodziska, trzeba miąć zamek, aleję z potężnych skał, z których jedna z dużym tworem wewnątrz niewiadomo dla czego „*Treny*“ się nazywa i wejść w śliczną dolinkę, ramą lasów objętą, która prowadzi już do samego celu podróży. Na łąkach pasą się krowy, czarnule i białe owieczki, na wyniosłościach w amfiteatr przysiadły się skały, nie tak potężne, jak w samym Ojcowie, a dziwnie fantastyczne, a z wyżyn wzgórz aż ku samej drodze zbiegło młode pokolenie świerków, buków, jodeł i modrzewi, bo wandalska ręka Niemców zniszczyła odwieczne lasy i w olbrzymim tartaku, który dziś koło zamku pustką stoi, wycięła je na deski.

— Przeszłość i teraźniejszość, poczyta i proza — rzekł nam S., wskazując starą ruinę, na skalistych szczytach wspaniałej i na tartak z wysokim kominem, który zuchwale u nóg jej unął, niszcząc drapieżnymi piłami piękność tych miejsc.

Blisko godzinę szliśmy zawsze tą śliczną drogą, trzymając się mniej więcej biegu kryształowych wód Prądnika, aż póki nie ujrzelśmy na wysokiej górze wieżyczki małego kościoła. Ponieważ chcąc się dostać do niego, trzeba było wejść na jej szczyt, odpoczęliśmy trochę na najniższych odłamach skał, których wyższe piętra w półkole obsiadły wzgórze. Oryginalnie bardzo grupują się skały koło Grodziska, mnie szczególniej podobała się jedna wielka, płowa masa kamienia, jakby przechylona w bok i bliska upadku. A cóż tam w ich szczytach, rozpadlinach, na ich piersi i u ich stóp za bogate plony dla botanika i entomologa, a dla smakosza, co za olbrzymie grzybki, trwające pono aż do Września! Wabią ore swoją czerwona główka nietylko człowieka, ale i ptaki, które rozrzucając niestrawione ziarna po dalekich przestrzeniach znakomitą usługę w naturalnej hodowli poziomek oddają.

Nie mogąc dojrzeć w trawie drobnych jagódek, korzystałam tylko z pracy innych, sama zbierając liliowe *campanulle*, bujne dziurawce (*Hypericum*) z misternie poklutymi liśćmi, dzikie gwoździki (*Dianthus*) różową i białą kasinę (*Carlina acaulis*) i wspaniałe, do zielonych różyczek podobne rozchodniki (*Sedum*) właściwie tylko górzystym położeniom. Z olbrzymim bukietem w ręku, szłam z wolna za towarzyszami po ścieżce, wydeptanej na górze przez pasztuszków, zatrzymując się często dla przypatrzenia się pięknym widokom w koło. Niegdyś była i ona cała ciemnym lasem obrośnięta; dziś po nim zaledwie parę drzewinek zostało i tylko na samym jej szczycie mały, biały kościółek zanurzył się w zieleni drzew.

— Ot i Grodzisko — rzekł, wskazując go laską, pan S. — skromny przybytek Boży i parę domków wieśniaczych na miejscu dawnej warowni.

I idąc, zaczął nam opowiadać, że miejsce to zwało się dawniej Skałą albo Kamieniem i było świadkiem krwawych zatargów między Henrykiem Brodatym, ks. wrocławskim, a Konradem, ks. mazowieckim, o opiekę nad Bolesławem Wstydlwym, a raczej o rządy nad Polską. Ks. Henryk, chcąc mieć w bliskości stanowisko obronne, zkądby odpierał napaady mazowieckie, wystawił na tej górze, niedostępnej wówczas, gród warowny wśród skał i przepaści. Toczyły się o niego nieraz walki, Henryk dzielnie go bronił, jednakże został zdobyty, przez syna Konradowego, Bolesława.

Później, gdy po wstąpieniu na tron Bolesława Wstydlwego ustały waśnie między opiekunami, a zamek osamotniał, siostra królewska Salomea, wdowa po Kolomanie, ks. haličkim, tu zamieszkała, przeniósłszy się wraz z zakonnicami S. Klary z Zawichostu, dla bezpieczeństwa przed napadami Tatarów, którzy mieczem i ogniem niszczyli często wtedy nieszczęsną krainę. S. Salomea, która jeszcze w Zawichoście założywszy klasztor Klarysek, wyrzekła śluby zakonne, wybudowała tu kościół pod opieką św. Maryi Magdaleny i w tem ustronnem miejscu, w modlitwach, postach, dając przykład cnót wszelkich, siedem lat przeżyła. W r. 1267, dnia 10 Listopada, w czasie mszy w kościele, wpadła w ciężką i bolesną chorobę, podczas której była bardzo cierpliwa, ale zaraz blizką śmierć przepowiedziała. Gdy jej siostry mówiły: „Nic ci nie będzie, Bóg cieszyć się nam tobą jeszcze pozwoli“. Ona odpowiadała „Sobota to przyszła pokaże“. Jakoż w sobotę umarła i gdy już ostatnie wydawała tchnienie, zdało się siostron, przy jej łożu stojącym, jakoby widziały jasną gwiazdę z ust jej wychodzącą.*) W pół roku potem zwłoki jej przeniesione zostały z kapliczki pobliskiej, gdzie nieraz długie dni przepędzała, do kościoła Franciszkańów w Krakowie, naturalnie z wielką pompą i przepychem, choć ona tego starannie za życia unikała. Zakonnice S. Klary mieszkały tu tylko do 1320 roku, przeniesiono je potem do Krakowa; stary gród i kościół rozpadały się w ruinę, a lud te gruzy i szczątki nazwał Grodzisko i to miano miejscowości ta dotąd zatrzymała.

(d. c. n.)

Wodospad w górach pirenejskich.

Wodospad, na rycinie naszej przedstawiony, spuszcza się prostopadle z wysokości 422 metrów i zaliczony jest do najwspanialszych cudów przyrody. Nie jest to rwący, gwałtowny potok, woda spada lekko, jakgdyby biały obłok osuwał się z wolna ze szczytu skały w głąb doliny, tu rozpryskuje się i kropelkami mgły unosi się w powietrze. W dolinie zwykle panuje cisza, przerywana tylko szumem niezliczonych strumieni i potoków, a widok tej smugi białej, spływającej z olbrzymiej kamienną ścianą, wygoda uroczą wśród dzikiej okazałości skał okolicznych.

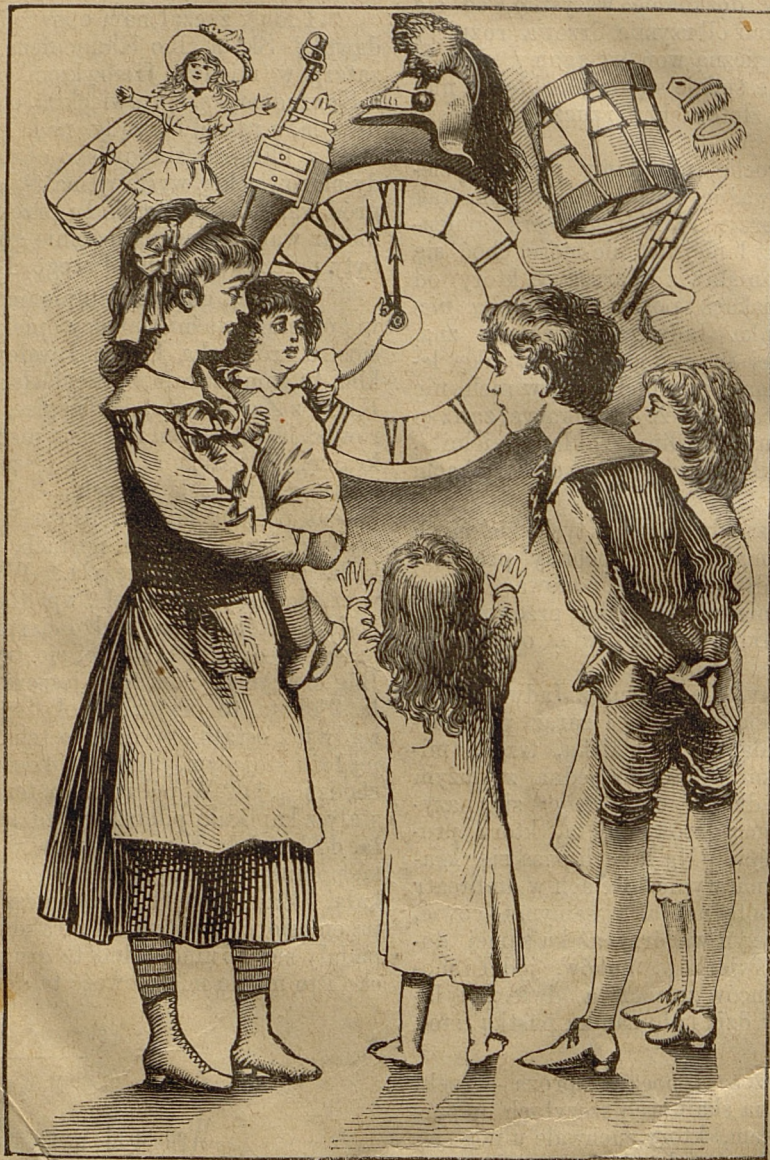
* Żywoty świętych Piotra Skargi.

List do towarzyszek ze wsi.

Czytelniczki „Wieczorów“ zdziwią się pewnie i zapytają: kto to jest ta, co tak śmiało występuje z listem? Nieraz już pod przybranym nazwiskiem wysyłałam do naszego pi-semka ćwiczenia konkursowe. Dziś, niestety! skończyłam lat 15, straciłam prawo do nagród, a że i dalej „Wieczory“ czytam z zapalem, przyszła mi ochota napisać list do was wszystkich młodszych, więc szczęśliwszych odemnie, bo was z konkursów nie wyrzucono, jak mnie.

wyśmiewają gorzej jeszcze i nazywają... wstyd mi się przyznać, ale wy mnie zrozumiecie, nazywają „Kozą“. Szkaradny wyraz, ile on mnie kosztował zmartwień! Jeszcze na domiar złego, nieszukamy na Krakowskim Przedmieściu, niedaleko Kozięj ulicy, nie wystawi sobie żadna z was, jakie to na mnie sprowadza przykrości.

Z początku martwiłam się, czasem nawet kłóciłam, raz, powiedzieć muszę, aż płakałam, kiedy nikt nie widział, bo wy wiecie, jak to przykro być zawsze prześladowaną, ale nareszcie wzięłam na rozum i powiedziałam sobie: koza to koza!



Nowy rok (str. 2).

Pomyślałam sobie: pisze Kazio, napiszę i ja. On donosi wam o książkach, sądzi ćwiczenia, zadaje nowe, ja nie mam pretensji do tak poważnego stanowiska, a jednak może coś do napisania znaleźć. Oj! smutne to moje stanowisko. Wam nie to wy wszystkie, co jak ja kończycie lat 15. Podlotek! Niby nie dziecko, a jeszcze nie panna dorosła. Mam braci w szkołach, możecie więc sobie wystawić, jakie prześladowanie znoszę. Gdy jestem poważna, wołają, że dumna i udaje 20-to letnią. Mam ochotę figlować i skakać,

Nie nie poradzę, dla czegoby podłotek nie miał także mieć swojego honoru i bronić go czynami? Nie uważam więc na żarty, jestem wesola lub poważna, stosownie do ochoty, a staram się tylko ze wszystkiego korzystać, co mówią starsi, żeby jaknajprędzej być rozumną i zasłużyć na nazwę kobiety.

A jak to dużo teraz od tej *kobiety* wymagają. To właśnie dało mi odwagę do napisania tego listu. Powiedziałam sobie: tyś dziewczętą żyje na wsi, daleko od ruchu stolicy, może nie wie, co tu mówią i robią. dobrze będzie napisać im cza-

sem coś nowego. I jak tylko myśl ta przyszła mi do głowy, zaraz znalazło się mnóstwo przedmiotów ciekawych, z których tylko wybierać.

A najprzód naturalnie wystawy, bo wiecie zapewne, że w nowo wybudowanym gmachu na Krakowskim Przedmieściu (ale dalej, niż Kozia ulica!) przeznaczono kilka sal na to, aby w nich urządzać różne wystawy, a tém samém pokazać, co mamy w kraju, a o co jeszcze starać się trzeba.

ny Rodziewiczówny, talerzyki z rysunkami Kostrzewskiego panny Romanówny, a może najbardziej Chrystus pani Jasińskiej. Mało widziałam dotąd obrazków, któreby takie rzeczy sprawiały wrażenie, i pisząc to jeszcze mi się zdaje, że ten Chrystus na mnie patrzy. Dalej jest wystawa różnych robót panien Jackowskich, tu zastanowiły mnie wypalania na drzewie. Jest to nowy pomysł, który opisać trudno, ale mnie cieszy zawsze rzecz nowa, bo sobie myślę: znów kobiety coś za-



Wodospad w górach pirenejskich (str. 3).

Przed kilku tygodniami była tam wystawa nasion i już wtedy miałam ochotę donieść wam o niej, terazniejsza jest ciekawsza i nam kobietom z dumą biło serce na widok, ile to rzeczy *my* już robimy, ile pieniędzy, zarobionych przez nas, nie idzie za granicę.

Ale zaczynam po porządku. Najprzód więc malowania na porcelanie, bo tych jest najwięcej, a że i ja trochę rysuję, więc mnie to bardziej obchodzi. Nie mogę wam pisać o wszystkich, ale mnie niezmiernie podobała się *Wiosna* pa-

robią. Nowych rzeczy na tej wystawie jest dużo, naprzykład z zakładu pani Korycińskiej wystawiły uczennice śliczne przedmioty srebrne rytowane, książki oprawne, krawaty męskie, okazy koszykarstwa, pszczelnictwa, a nawet zegarmistrzostwa, ale wystawcie sobie, co mnie tam najwięcej zachwycało, to lalki! A jakie lalki! Jedna ubrana za pannę młodą, zupełnie podobna do mojej Kasi, którą skończywszy lat 15 siostrzyczce darować musiałam. To też oglądałam się za nią po kilka razy, bałam się tylko, by brat mój tego zachwy-

tu nie spostrzegł, bo byłby mnie pewno wyśmiewał. Prześlizne kwiaty widziałam u pp. Szymkiewiczowej i Karskiej, do prawdy, toby teraz paryzkie kupował, popełniłby grzech prawdziwy, i powinniśmy dać sobie słowo, że nigdy się tego zbytku nie dopuścimy. Bardzo mnie także zajął widok jedwabiu krajowego, który wystawił p. Bogucki. Jedwabniki, to zawsze moje marzenie, i zazdroszczę wam, mieszkającym na wsi, że możecie mieć morwy i hodować te użyteczne owady! Co to za szczęście mieć własnego wyrobu jedwabną suknię. A jakie do niej można mieć krajowe koronki! P. Błociszewski wystawił jedwabne, a zakład Wandy ruskie, ale są i walansieny, i gipiury, a mama mówiła, że niektórzy nie ustępują wcale zagranicznym.

Za sto lat może nasze wiejskie dziewczęta wyrabiać będą niegorsze od brukselskich wzory, i przejeżdżający przez Polskę cudzoziemcy gorszyć się nie będą widokiem bosych kobiet i dzieci, bo te potrafią sobie na obuwiu i pończochy zarobić.

Jest też i nowa pończosznicza maszyna, bardzo szybko wykonywająca robotę, a obok niej prześlizne cacko, niby to taleta, ale jak zamkniesz lustro, służy za biurko, a naprawdę jest maszyną do szycia, która ukryta w spodzie, wydobywa się za naciśnięciem sprężyny. Niezmiernie mi się ten pomysł podobał i gdybym kiedy miała swój dom, zarazbym taki sprzącik kupiła, bo to tak mało miejsca zajmuje, a takie śliczne.

A może też za mąż pójde i od mego narzeczonego ten upominek dostanę, bo przecież naręczony powinien dbać o to, żeby jego pani była pracowita, żeby miała biurko, przy którym rachunki robić będzie, i lustro, aby prosto czepeczek włożyć. Ale co ja też plotę, redakcyja może się zgorszy takimi myślami i listu nie wydrukuję, a tu jeszcze tyle wam o wystawie donieśćbym chciała.

Naprzykład wyroby włościańskie, jakie to ciekawe! Pan Zawadzki z Kutna założył fabrykę plecionek na słomiane kapelusze, i zaręczają, że już z zagranicy nikt ryżowych, ani ładnych sprowadzać nie będzie, bo tutejsze zupełnie je zastąpią; nauczono się bowiem przygotowywać polską słomę tak, że ona ryż naśladuje. a daje zarobek wiejskim naszym dzieciom. Hrabina Zamoyska przysłała wyrabiane u siebie w wsi fartuchy, spódnice i koszyki, są takie same przedmioty z gubernii siedleckiej, a bardzo rzewne sprawia wrażenie wystawa różnych robót, jakie przygotowały sierotki z Towarzystwa Dobroczynności.

Jednym słowem mamy dużo rzeczy, któremi się chlubić możemy, my kobiety zwłaszcza, a że redakcyja „Wieczorów“ na ostatnim konkursie nagrodziła panienkę, pragnącą być dobrą gospodynią, więc muszę wam jeszcze donieść (choćby dla przypodobania się redakcyi), że jest na wystawie śliczna kuchnia, ogrzewana gazem, gdzie gotować można, nie walając się węglem, na płomykach, które nietylko pod rondelkami się palą, ale tak są urządzone, że na różnie przy nich piec można nawet gęś na dzień Ś-go Marcina. Bardzo to wszystko ładnie i zabawnie wygląda. Po skończonym obiedzie zamyka się szafa i ani śladu kuchni, tylko zgrabny sprzęt pozostaje. Jest też i wystawa naczyń kuchennych, praktycznych i eleganckich, a żeby było co gotować, wystawił p. Krzymuski makaron swej fabryki i już teraz powinien się on polskim, nie włoskim nazywać.

Tyle o wystawie, jeżeli mój opis nie zachęci was, moje drogie, do tego, żeby kiedyś coś na nią przysłać, to będę bardzo smutniona.

Na zakończenie listu chcę się z wami podzielić miłą wiadomością. Oto Siemiradzki i Matejko prześlizne dwa obrazy przysłali do Warszawy. Żałujcie wy wszystkie, co ich widzieć nie możecie!

Matejko wymalował Joannę d'Arc, gdy wjeżdża na koniu do Reims, żeby ukoronować Karola VII. Tak niedawno uczyłyśmy się historii tej bohaterki, że doskonale treść obrazu rozumiałam. Zresztą dość spojrzeć na twarz Joanny, aby poznać, że ona za kraj walczy. Święty Michał i Święta Katarzyna podają jej z obłoków lilią białą, a matki podnoszą maleńkie dzieci, żeby się dziewicy przypatrzeć mogły. Obraz

jest prześlizny i spogląda się na niego z dumą, że to nasz malarz takie dzieło stworzył.

Siemiradzkiego Chrystus z Maryą i Martą, mniej mi się w pierwszej chwili podobał, ale im dłużej patrzyłam, tem więcej mnie zachwycił. Ach! moje drogie, czemu to my nie możemy tak jak Marya słuchać słów Bożych z ust samego mistrza! On tak cudownie przemawiać się zdaje, a ona taka zapatrzona. Marta tylko bardzo niekorzystnie wygląda, aż mi jej żal, bo ona także, jak umiała, tak Bogu służyła. Dostyc że kobiety górą! Na wystawie mnóstwo ich pracy, a dwaj najwięksi mistrze przedstawili na raz trzy typy, bohaterkę, świętą i gospodynią.

Mamy czem się szcycić i co naśladować, a tymczasem kończyć już trzeba. Z wielkim strachem list ten wysyłam do redakcyi, bo pewnie go nie przyjmie, a jabym tak pragnęła, żeby do was wszystkich znanych i nieznanym doszły moje słowa.

Może mi która na nie odpowie, bardzo o to prosi wasza przyjaciółka

Zosia.

Ale, ale! nic wam nie napisałam o jarmarku czyli kiermaszu, a to takie zabawne było i użyteczne zarazem. Wystawcie sobie, że różne dobroczynne panie przed świętami urządziły w dawnym cyrku kilkanaście sklepów, w których sprzedawały wszystko, co tylko pomyśleć możecie, a zysk ztąd odniesiony poszedł na korzyść biednych. Jaki tam był ruch, tego sobie wystawić nie potraficie. Dwie orkiestry grały na przemian, a na scenie, urządzonej na przedce, przedstawiano żywe obrazy, pokazywano magiczne sztuki, śpiewano. Wszystko to było oświetlone pięknie gazem. Tłumy tłoczyły się w tę i ową stronę na galeryach, osób mnóstwo, doprawdy w głowie się kręciło, patrząc na ten ruch, chaos, życie. Nie wiem czy dużo rozprzedano przedmiotów, bo to teraz ciężkie czasy, więc i kupujących mało widziałam, ale dla tego właśnie, że ciężkie, trzeba by jaknajwięcej dla biednych nazbierać pieniędzy.

Niech Bóg czuwa nad niemi, bo cóż ja mogę? Wiem, co mogę! pracować i uczyć się, żeby kiedyś dużo zarabiać, i mieć z czego udzielać potrzebującym, a tymczasem mogłam chociaż jednemu biednemu dziecku dać coś bodajby najmniejszego na gwiazdkę. To i wy mogłyście uczynić, nieznanie moje siostrzyczki, i uczyniłyście zapewne, więc na dziś nasze hasło pożegnania — praca i pamięć o ubogich.

KSIEGA PAMIĘTNYCH CZYNÓW.

Słusznie wielbimy ludzi bogatych, majątek swój poświęcających na cele dobroczynne, lecz na większą jeszcze cześć, na większe uwielbienie zasługują ci, którzy żadnych bogactw nie posiadają, a jednak znajdują i obmyślają sposoby czynienia tak wiele dobrego, jak gdyby ogromnymi funduszami rozporządzali. Najwięksi dobroczyńcy ludzkości byli ubodzy, począwszy od Ś-go Wincentego a Paulo. W kraju naszym nie brakło także takich zacnych ludzi, któż nie zna nazwisko ks. Baudouin'a, ks. Falkowskiego, Izabelli Piłsudzkiej, założycielki Schronienia dla nieuleczalnych kalek. Wielkie serce, przepełnione miłością chrześcijańską, starczyło im za majątek, umieli oni pobudzić bogatszych od siebie do miłosierdzia, umieli składać z drobnych datków znaczne sumy, małemi środkami dokonywać wielkich rzeczy, cudów niemal.

I dziś żyje w Krakowie jeden z takich zasłużonych ludzi, ks. Siemaszko, ze składek, z ofiar drobnych utrzymujący zakład, w którym daje przytułek, opiekę i naukę biednym opuszczonym chłopcom. Nieraz zapuszczał się w różne oddalone zaułki miasta, zacny kapłan spotykał te biedne istoty, zwane ulicznikami. Są to zazwyczaj chłopcy zupełnie osieroceni, nie mający żadnego sposobu do życia, pedzący dni całe na próżniactwie i szkodliwej swawoli. Gdy im nędra i głód dokuczy, wyciągają rękę po jałmużnę, często do gorzszych uciekają się środków, stają się małoletnimi przestęp-

ami, złodziejami kieszonkowymi, z wickiem wychodzą nieraz na strasznych zbrodniarzy.

Ks. Siemaszko zapragnął gorąco przyjść z pomocą takim nieszczęśliwym dzieciom, które jedynie nędza i brak wszelkiej opieki popycha do złego, a ponieważ sam nie posiadał żadnego majątku, więc zaczął zbierać na ten cel drobne datki i ofiary. Wytrwałością wiele dokonać można, zebrał też w końcu fundusz dostateczny do rozpoczęcia swojego dzieła, wynajął parę izdebek i pomieścił w nich kilku chłopców, zabranych z ulicy.

A możecie sobie wyobrazić, jak to było niełatwo tych aliczników znarowionych, nawykłych do próżniactwa, skłonić do innego rodzaju życia, do porządku, do pracy, rozbudzić w nich lepsze uczucia. Nie z każdym się to zapewne udawało, nieraz zacny kapłan doznać musiał zawodu, nieraz mozolne usiłowania jego były daremne. Nie zrażał się wszakże, rozwijał i rozszerzał nieustannie swój zakład, fundusze jego zwiększały się ciągle, bo Opatrzność dopomaga zawsze takim szlachetnym przedsięwzięciom i dziś, po czterech latach, ks. Siemaszko posiada już dom własny, w którym daje pomieszczenie i utrzymanie sześćdziesięciu wychowankom. 14 Listopada roku zeszłego odbyło się poświęcenie tego nowego mieszkania. Chłopcy w zakładzie ks. Siemaszki uczą się różnych rzemiosł, poczem za staraniem opiekuna swego są umieszczani u majstrów i mogą uczyć się na życie zarabiać.

TAJEMNICA STAREGO KLASZTORU.

POWIEŚĆ Z DZIEJÓW SERBSKICH

przez M....a

(Dalszy ciąg).

Był to jeździec tak bogato ubrany i na takim przepysznym koniu siedzący, takimi się mienił barwami, tyle złota zeń kapłało niedledwie z rzędów i szat jedwabnych, srebrem, złotem i perłami haftowanych, z rękocyfami nożów, jataganów, pistoletów i ze strzelby, klejnotami drogimi nabijanych, że aż blask bił od tego wszystkiego i Milica, spojrzawszy, uczuła jakby olśnienie i aż oczy przetarła, aby się przekonać, że ten cudny jeździec, to nie sen.

Nie, to nie był sen... nieznajomy, cudny jeździec stał ciągle przed nią. Musiał spostrzedz wrażenie, jakie na dziewczynie zrobił, bo się uśmiechnął i wspaniałym ruchem biorąc się w bok, a odrzucając w tył połą płaszcz, tak błysnął purpurą jego podbicia i złotolitym, teraz w całej okazałości ukazującym pasem i strojem, że dziewczyna, zupełnie jak przed słońcem, oczy zmrażyć musiała... A gdy je otworzyła po chwili, tedy!bardziej jeszcze osłupiała ze zdumienia, bo cudny jeździec znikł.

Chwilę stała nieruchoma, oczyma tylko wodząc dokoła, a potem z wolna poczuła przestrasch, ogarniający ją coraz mocniej, aż wzmógł się tak bardzo, że Milica, schwytawszy koszyk z robotą, puściła się pędem ku wsi na dół, zaledwie tyle mając przytomności, żeby na kozy zawołać. Zanim jednak na wyścigi z kozami pasterka dobiegła do zabudowań, upłynęło minut kilka, miała więc czas bądź co bądź ochłonąć trochę z wrażenia i strachu dziwnego, nie wpadła też z krzykiem do domostwa, jak to zrazu byłaby uczyniła, ale drżąc cała ze wzruszenia, zapędziła kozy na miejsce i znowu, co sił starczyło, pobiegła do własnej rodzicielskiej chaty, gdzie zostawiwszy swój koszyk, pochwyciła natomiast dzban wielki starożytnych kształtów i biegła z nim do studni po wodę, co jest obowiązkiem dziewczęcym, minęła studnię i wpadając bez celu w dziedziniec Staroego Klasztoru, krzyknęła do oczekującego tam na nią Miłosza:

— Widziałam świętego Michała!

Rycerz był tak piękny a nadewszystko świetny, że wię-

ska dziewczynka wzięła go za księcia niebieskiego, ponieważ nie świetniejszego w życiu nie widziała nad św. Michała na obrazku.

— Ale zkądże wiesz, że to święty Michał? może to św. Jerzy? — zauważył Miłosz, niemniej od niej zdumiony, gdy mu rzecz rozpowiedziała.

— A jakże, kiedy włóczę nie miał! — zawołała, bo przecież znała i św. Jerzego z obrazków.

Młodzież obojgę płci, słysząc to, otoczyła rozmawiającą parkę, wypyując, dziwiąc się, zdumiewając... Lud serbski przesądny jest, mówiono więc:

— Jeżeli to był istotnie św. Michał, Milico, nie może to być bez znaczenia!... Cóż może znaczyć, że ci się św. Michał ukazał?...

Stary Klasztor tak zwany był to ogromny czworobok starożytnych niezmiernie gruzów, rzymskich zapewne, z przerwą w jednym miejscu, niby bramą, prowadzącą do wnętrza czworoboku, a to wewnątrz było łączką prześliczną, kwiecistą i cieniastą, bo gruzy owe zarosły od wieków leśną gęstwiną. Miejsce to więc bardzo naturalnie było ulubionym miejscem spoczynku i gawędki dla wszystkich mieszkańców wioski, a w szczególności młodzieży, i dlatego to Milica przypomniała Miłoszowi o Starym Klasztorze, choć jemu zresztą wcale przypominać nie było o tém potrzeba. Bo jeżeli starszych przyciągała tu pogawędka, a młodszych wspólna zabawa, to była jeszcze i inna ważniejsza do tego przyczyna, a to taka, że o kilkanaście kroków przed ową niby bramą, wiodącą wewnątrz czworoboku, stała studnia, zwyczajna tamtejsza studnia, ściana kamienna murowana, w niej rurki żelazne, z których kryształowym, spokojnym źródłem spływała woda w żłób kamienny, kilka drzew ocieniało studnię, jak każdą tutaj. Otóż do tej studni biegły dziewczęta po wodę, tu mężczyźni miejscowi, a i podróżni przejeżdżający konie poili, przywoząc ze świata wiadomości przeróżne, nieraz bardzo ważne i stanowiące o losie kraju, zastępując niejako dzisiejsze gazety, i ta właśnie okoliczność najbardziej ludzi do miejsca tego ciągnęła. Studnia wraz z gruzami stanowiła niby jedność, stojąc u wrót ich i uważaną była jako dawna studnia klasztorna. U gruzów Staroego Klasztoru gromadzili się zatem w chwilach wytchnienia starcy i młodzi, i była nawet tradycja, że związki przyjaźni, tu zawierane, szczególniej bywały szczęśliwe.

To też i w chwili, w której Milica wbiegła ze swoją dziwną nowiną, pełno było tam dziewcząt z pięknymi wysmukłymi dzbanami, chłopców pojących konie, trzymających je za uzdy, lub prowadzących bydło, i było kilku starszych gospodarzy, wracających od roboty z pola i winnic; kobiet tylko starszych nie było ani jednej, gdyż wszystkie gospodynie, po wieczór zgromadzone już w domu starzeszyny, pomagały w przygotowaniu wspólnej, jak zawsze, wiecerzy. Gdy młodzież wszystkich otoczyła Miłocę i Miłosza, starsi słuchali zdaleka gwarnych pytań i odpowiedzi, spoglądając wzajem na siebie z lekkim niepokojem i uśmiechem zarazem, bo nie wiedzieli co myśleć o zjawisku, a mniej od młodych skłonni byli do wierzenia w nadzwyczajności. Tymczasem gwar rósł pomiędzy młodzieżą.

— Jakto, i znikł? znikł? — pytano.

— Znikł! — odpowiedziała Milica.

— Ależ musiałś widzieć, jak? Czy się w niebo uniosł?

— Czy się w mgłę rozpląnął?

— Nie wiem, bo bił od niego blask taki, że aż oczy zmrużyć musiałam na chwilkę, a gdy je roztworzyłam, już znikł!

— Taki bił blask?

— Taki, jak od słońca, stał przedemną blisko, o trzy kroki, ot tak, jakby na tej skale! — opowiadała Milica, wskazując oburącz zgrab zieleń obrosłych gruzów tuż poza Miłoszem, przy którym stała, wskazując zgrab ten; i ona sama, i jej słuchacze zwrócili oczy tam, gdzie wskazywała, i nagły okrzyk zdumienia wyrwał się ze wszystkich piersi: świetny jeździec, wojnik, błyszczący wraz z koniem od złota, purpury i drogich kamieni, stał tam, promieniejąc w ostatnich blaskach zachodzącego słońca.

Tak, to był ten sam, wszyscy poczuli odrazu, że to był ten sam, o którym mówiła Milica, bo dwóch takich św. Michałów przecież być nie mogło. Zapatrzeni na cudne zjawisko obecni osłupieli tak bardzo, olśnieni jego świetnością, że nie widzieli ani tęp mniżej słyszeli, jak świetny jeździec z lekka końcem kindżału, który trzymał w ręce, dotknął ramienia stojącego tuż przed nim i bokiem doń zwróconego Miłosza, i cicho zapytał:

— O jakiej porze w gruzach Starego Klasztoru niema nikogo?

— O północy! — również cicho a bez namysłu odpowiedział chłopak. Jeździec pytał niecierpliwie jakoś, jakby go gniewało, że zastał tu ludzi tak dużo; Miłosz odpowiedział stanowczo, bo istotnie o północy nikt nie poważyłby się zbliżyć do Starego Klasztoru, o którym, jak o wszystkich ruinach, liczne istniały legendy: spoczywający tam mnisi nie lubili podobno, aby w północną godzinę przerywano ich modły, choć w dzień biały błogosławili młodzież, zawierającą święte związki przyjaźni na ich grobach.

— A więc dziś o północy bądź tutaj, a milcz! — powiedział ciszej jeszcze świetny jeździec i zrećnie a lekko cofając w tył wspaniałego rumaka, znikł wraz z nim w gęstwinie, porastającej gruzy, która się za nimi zamknęła.

Wtedy dopiero rozległ się wśród obecnych nieokreślony szmer jakiś po tych kilku chwilach ciszy bezdennej, w jaką ich zakłędo cudne zjawisko. Z jakimś strachem niewytłomaczonym młodzież cofnęła się, przytulając do starszych, jakby ich opieki szukając, niektórzy zaś stali, nie śmiejąc się ruszyć, aż dopiero niewiadomo kto z młodych odważył się powiedzieć:

— Przecież to wojnik żywy, nie duch!...

— Żywy wojnik, a nie duch! — potwierdziło wtedy z dziesięć głosów, jakby nagle przysł czar, który je oniemiał.

Milica prawie się obraziła, bo niewiedzieć dlaczego dumną była, że to jój właśnie ukazało się najprzód cudowne zjawisko, a tu teraz chciano mu cudowności odmówić:

— Jeżeli to zwykły wojnik — rzekła — to czegoż tak się dziwnie ukazuje i znika?

— Ależ on nie znikł, tylko cofnął się z koniem w gęstwinę! — krzyknęto.

Zdrowy rozsądek, właściwy Serbom, przeważał wśród młodzieży, która zazwyczaj niewiele tam liczy tak wyjątkowo wrażliwych istot, jak fantastyczna Milica.

— Aha, nie znikł — odparła urągliwie — i nie był wcale wraz z koniem zakuty w złoto i drogie kamienie!

— To prawda... zawsze to coś dziwnego. Co to może być? — pytała młoda gromadka, zwracając się do starych z tęp pytaniem. Ale starzy nie odpowiedzieli na razie, wyglądali jakoś zaniepokojeni i pod wrażeniem tego ich niepokoju wszyscy rozeszli się do domów. Gruzy Starego Klasztoru osamotniały.

(d. c. n.)

Zadanie naukowe.

Weźmy dwa ręczniki, jeden suchy, drugi wilgotny. Ręcznik wilgotny zawsze za dotknięciem wyda się nam zimny, chociażby oba leżały obok siebie w ciepłym pokoju.

Dlaczego?

(Odpowiedzi należy podpisywać pseudonymami).

ZAGADKA.

(Od Lwa dla autorki Reginki).

W wierszach zagadka i odgadnienie,
Ilość tych wierszy ma swe znaczenie,
Odgadnąć łatwo tu porę roku,
Skoro się będzie uważać z boku;
Nikt jednak pisma nie trzyma tak,
A więc należy pomyśleć jak?

Czarodziejska sztuczka.

(Dla Iskierki od Dziurki).

Od wyrazów: Mickiewicz — Klemens — Iza — cerata — siwki — eos — ton — kokaina — ruleta — chory — ona — odjąć: 1. Muzę. 2. Imię biblijne. 3. Boginią grecką. 4. Roślinę zamorską. 5. Przydomek znakomitych królów. 6. Porę roku. 7. Część twarzy. 8. Roślinę trującą. 9. Wykrzyknik. 10. Miarę czasu. 11. Przyimek. Zostanie nazwisko słynnego powieściopisarza współczesnego.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 51-go

Zagadki:

Oczy.

Krzyża z podstawą:

			K			
			R			
			A			
M	A	S	Ł	O		
			Z			
			E			
			W			
		O	S	A		
	T	A	K	S	A	
J	U	L	I	U	S	Z

OGŁOSZENIE.

PAMIĘTNIKI O MARYI WESŁÓWNI są dla prenumeratorów do nabycia po rs. 1 kop. 35 wraz z przesyłką pocztową, jak to już kilkakrotnie ogłaszaliśmy, nie zaś po kop. 30, osoby zatem które kop. 30 przysłały, zapewne przez omyłkę, mają tę kwotę u nas do dalszego rachunku lub zechcą do niej dodać jeszcze rs. 1 kop. 5 aby mieć przyslaną żadaną książkę. Prosimy o zwrócenie uwagi nadal na to ogłoszenie, również jak i na powtarzaną kilkakrotnie prośbę, aby listów z pieniędzmi nie adresować do nikogo w redakcyi imiennie, tylko wprost: do *Redakcyi Wieczorów Rodzinnych*.

TREŚĆ: Gromady gwiazd, pogadanka naukowa. — Nowy rok, wiersz p. M—a. (z drzew.) — Młoda podróżniczka w Ojcowie, przepisała Zofia Grabkowska (c. d.) — Wodosпад w górach pirenejskich (z drzew. — List do towarzyszek ze wsi. — Księga pamiętnych czynów. — Tajemnica starego klasztoru, powieść z dziejów serbskich p. M—a. — Łamigłówni, rozwiązania. W DODATKU: Głodne ptaszęta (z drzew.) — Kowal, wiersz p. Ludwika Niemojowskiego. — Romanek p. Kazimierę. — Bajka o trzech krukach ofiarowana Siewierce. — Łamigłówni, rozwiązanie, Skrzynka do listów.

DODATEK KSIĄŻKOWY: Garbusek, powieść dla dorastających pańienek p. Maryą Swiderską.

GŁODNE PTASZĘTA.

Madzia miała bardzo brzydki zwyczaj, nigdy porządnie nie jadła chleba, tylko odłamywała skórę, bo tę najlepiej lubiła, a mięksiz szarpała na drobne kawałki i rozrzucała po stole, czasem i po podłodze. Rodzice nieraz ją o to strofowali, mówiąc, że chleba nie godzi się tak marnować, bo dużo jest ludzi biednych na świecie, którym brakuje żywności. Ale Madzia śmiała się z tego i mówiła:

— Moja matuniu, temi okruszynami przecież niktby się nie mógł pożywić, to i cóż szkodzi, że ja je wyrzucam?



Głodne ptaszki.

— Tak myślisz — odrzekła mama — ale się mylisz, córeczko.

I mama pozbierała starannie wszystkie okruszyny, rozsypane przez Madzię, złożyła je do małego koszyczka i schowała do szafki kredensowej.

W parę godzin potem Madzia stanęła przy oknie i zobaczyła kilka wróbelków, skaczących po śniegu przed domem. Ptaszyny rozgartywały śnieg dziobkami, szukały czegoś widocznie, a kiedy niekiedy chwytaly jakiś drobny przedmiot i połykały chciwie.

— Co one tam robią, mateczko? — spytała Madzia, pokazując matce wróbelki.

— Szukają pokarmu — odrzekła mama — biedne ptaszęta są strasznie zgłodniałe zimą, bo niema nigdzie ani owadów, ani ziarenek. Jaskółki, kukułki, i dużo innych ptaszków odleciało do ciepłych rajów, gdzie niema zimy, więc przez rok cały nie ma im żywności, ale

wróbelki zimują u nas i wielki głód cierpią biedactwa. Zwykle też przybliżają się do mieszkań ludzkich, bo tu łatwiej znajdują jakieś resztki jedzenia. I tu u nas na podwórku czasem się im trafi odszukać jakieś ziarno, niedojedzone przez kury i gołębie, a nieraz i z kuchni wyrzucą odrobinę kaszy lub innej strawy.

— Biedaczki! — zawołała Madzia — czyż one mogą się tem najeść?

Mama nic nie odpowiedziała, lecz otworzyła okno, wyjęła z szafy koszyczek z okruszynami chleba i rzuciła ich garść całą na śnieg. O, cóż to była za radość. Ptaszęta zaczęły świegotać, nawoływać się, a jak wesoło podskakiwały i żwawo chwytaly te smaczne okruszyny. Nie odleciały, aż póki nie wybierały wszystkiego. Madzia w rączki klaskała, patrząc na uciechę wróbelków.

Tego wieczora przy kolacyi nasza dziewczynka już nie rozrzucała niedojedzonych kawałków chleba, lecz wszystkie, najdrobniejsze okruszyny zbierała starannie i składała do owego koszyczka, toż samo zrobiła i rano przy śniadaniu. Gdy podeszła do okna, zobaczyła przed domem mnóstwo wróbelków, daleko więcej niż wczoraj. Pewnie te ptaszyny, co się tak dobrze najadły dnia poprzedniego, przyprowadziły z sobą swoich przyjaciół i znajomych, żeby się posiliły także z niemi.

Madzia ubrała się ciepło, wyszła przed dom i zaczęła sypać wróbelkom zebrane okruszyny chleba. One nic a nic jęć się nie bały, świegotały wesoło, jakgdyby chciały podziękować dobrej dziewczynce, skakały tuż przy jej nogach i ze smakiem zjadały. Odtąd Madzia nigdy nie mówiła, że okruszyny chleba na nic się nie zdadzą, ale najdrobniejsze skrzętnie zbierała dla biednych, zgłodniałych wróbelków.

Każdy z was, kochani czytelnicy, powinien zawsze pamiętać, że i to nawet, co jemu na nic nie jest potrzebne, może jeszcze często przydać się komuś innemu, nigdy też nic wyrzucać nie trzeba, nie pomyślawszy wprzód: Czy nie możnaby tego dać komu? Czerstwa bułeczka, której rozpieszczone dziecko jeść nie chce, będzie największym przysmakiem dla ubogiego biedactwa, a drobne okruszyny chleba pożywią zgłodniałe wróbelki, i tych więc marnować nie należy.

KOWAŁ.

Opodal wioski był dworek,
A we dworku sfrasowany
Siedział nad książką Wiktorek,
Ucząc się lekcyi zadanej.
Naprzeciwko, poza płotem,
Stała kuźnia murowana,
Gdzie kowal żelazo młotem
Walił od samego rana.
Bęc! bęc! kuje. W wszystkie strony
Pryska iskierek miliony,
Brzęczy sztaba, sapią miechy...

Ileż radości, uciechy
 Dla Wiktoraka. — Drogi tato,
 Rzeknie chłopczyk, patrząc na to,
 — Jak szczęśliwi ci kowale!
 Puszczają iskielki dokoła,
 To nie żadna praca wcale,
 Ale zabawa wesoła!

— O! jak często dzieci błędzą,
 Gdy rzeczy z pozorów sądzą,
 I trudem książkowym gardzą;
 Rzemiosło kowala bardzo
 Uciążliwe — ojciec powie.
 — Trzeba mieć siłę i zdrowie,
 I pracować w czoła pocie,
 By wydołać tej robocie.
 Nie ludź się więc czczym pozorem
 Rozrywki, która cię mami,
 I idąc utartym torem,
 Nie pogardzaj naukami.

Ludwik Niemojowski.

ROMANEK.

— Mój Romanku, proszę cię, zejść ze stołu i przestań bawić się lampą; kto słyszał albo widział, żeby chłopczyk taki duży siedział na stole?

— Ależ, moja ciociu, cóż to szkodzi, że ja siedzę na stole? — odpowiedział Romanek — przecież nic się przez to nie stanie. A czy to ja taki jestem duży?

— Ja myślę, że duży, masz już sześć lat skończonych, w tym wieku chłopcy już się uczyć powinni.

— Ja się też uczę — rzekł Romanek, bujając lampą — umiem pisać doskonale.

— Tylko że czytać nie umiesz jeszcze, a pisanie po cieniach nie nazywa się umiejętnością — odpowiedziała ciocia.

— Ach! Ciocia zawsze mówi, że ja nic nie umiem, a ja mądrzejszy jestem od Ludwika, który gęsi pasie — rzekł Romanek obrażonym tonem. Ciocia na mnie to zawsze co wymyśli.

— Jesteś bardzo niegrzeczny i bardzo niemądry, mówiąc takie rzeczy; czy tak się odpowiada cioci, alboż to ciocia dziecko, żeby mówiła bez zastanowienia? do prawdy, Ludwik nie powiedziałby tego.

— Tak, to może i Ludwik mądrzejszy odemnie, może grzeczniejszy — mówił Romanek, krzywiąc buzię do płaczu — hm, hm, ciocia zawsze na mnie.

— Ślicznie, ani słowa, chłopiec taki duży zaczyna się mazać, jak małe dziecko — rzekła ciocia surowo — proszę zejść ze stołu w tej chwili, i idź sobie do dziecinnego pokoju, z mazgajami nie lubię rozmawiać.

Romanek poznał, że ciocia nie żartuje, żal mu się zrobiło, że nie usłuchał od razu, zawstydził się nawet w duszy, ale zła myśl przyszła mu do głowy, aby ze stołu nie zejść i cioci nie usłuchać. Zastonił więc oczy rączkami i zaczął płakać głośno, ani myśląc usłuchać tego, co mu ciocia mówiła.

— Romanku, czy słyszałeś, że kazałam ci zejść ze stołu? — zapytała ciocia.

— Ja... j... a... nie... nie... jestem... nie... mą... dry — mówił szlochając Romanek — cio... cia... tylko... za... wsze... na... na... mnie.

Ciocia nie powiedziała na to ani słowa, wzięła nieposłusznego chłopca za rękę i zsadziła ze stołu, a następnie zaprowadziwszy do dziecinnego pokoju, zamknęła drzwi, i wróciła na swoje miejsce, zabierając się do przerwanej roboty.

Upłynęło tak z pół godziny, gdy nareszcie drzwi cicho ktoś otworzył i Romanek wsunął się do pokoju, stanąwszy skromnie na boku.

— Kto tam? — zapytała ciocia.

— To ja — odrzekł cicho Romanek.

— Co za ja? — powtórzyła ciocia.

— Ja, Romanek — rzekł chłopczyk nieśmiało.

— To być nie może, Romanek płacze w dziecinnym pokoju — odpowiedziała ciocia, nie odwracając głowy od roboty.

— Ja, proszę cioci, już nie płaczę, ja... ja już nie jestem mazgajem — rzekł Romanek trochę głośniej.

— Gdyby to był Romanek — mówiła ciocia, robiąc dalej swoją robotę — to wiem, że poznawszy swój błąd, przyszedłby śmiało, przyznał się, że źle robił, przepraszyłby ciocię, przyrzekając poprawę.

— Kiedy się wstydzę, proszę cioci — rzekł Romanek, postępując o kilka kroków bliżej — doprawdy, bardzo się wstydzę, że byłem taki niegrzeczny.

— A więc poznałeś, że brzydko starszych nie słuchać, i przyganiać im ciągle, że źle robią? — zapytała ciocia.

— Oj, poznałem, ciociu kochana — zawołał Romanek, przyskakując prędko do cioci i rzucając jej się na szyję — już nigdy tego nie zrobię, przekona się ciocia, że nigdy.

— Wierzę ci, mój Romanku — rzekła ciocia, ściskając chłopczyka — bo wiem, że nigdy nie kłamiesz, a chociaż czasem zbłądzisz, to jednak poznasz to i poprawisz się.

— Już teraz na stół nie będę wchodził, — rzekł Romanek — będę się uczył, i nie powiem, że jestem bardzo mądry, bo podobno tak nie jest.

— I tak być nie może, mój Romanku, w twoim wieku dzieci bardzo mądrych niema, nauka daje rozum, a więc trzeba pracować usilnie, aby być mądrym w przyszłości.

— A więc do książki: raz, dwa, trzy! — zawołał chłopczyk i pobiegł po książkę, aby się z ciocią uczyć.

Kazimiera.

BAJKA O TRZECH KRUKACH

ofiarowana **Siekierce.**

Było to wśród ślicznego świerkowego lasu. Dwoje dzieci szło pod górę. Były bardzo zmęczone, bo dzień gorący i skała, po której się wspinały, utrudzały je niezmiernie. Z pomiędzy drzew wyglądały ruiny starego

zamku, dzieci, nie odpoczywając, wdzierają się coraz wyżej. Chłopczyk w mundurku z powagą podawał rękę matłej dziewczynce, ta odważnie szła naprzód, od czasu do czasu chwytając zawieszony na pasku kubeczek, w obawie, aby się nie rozbił o skałę, bo go bardzo lubiła. W górskich przechadzkach był on jej nieodstępnym towarzyszem. Każde źródło, a było ich tyle szumiących, przezroczyście, wywalało okrzyk radości, czerpała wtedy śliczna panna mieniącą wodę z potoku i podawała ją wspaniałym do picia, jak mała Rebeka. Teraz, nim mamy doszły, i ta para dzieciaków piła z górskiego źródła, potem zaczęli oboje obiegać stare mury, szukając, czy gdzie nie znajdują skarbów, smoka, lub, co byłoby najciekawszym, śpiącej królowy.

Ale nic takiego nie było, wróciły dzieci zasmucone doznany zawodem. Matki tymczasem znalazły sobie miejsce wśród mchem porośniętych kamieni i przytuliwszy obrażone niepowodzeniem dzieciaki, zaczęły naradzać się nad tem, czémby malców pocieszyć. Wtedy jedna z mam opowiedziała bajkę, którą wam powtórzę, a która przypomni może Siekierce lasy świerkowe, źródło górskie i tych, co ją tam wśród dalekich stron znali i pieścili.

Dawno, bardzo dawno temu, żyli król i królowa, którzy się bardzo kochali i byli bardzo szczęśliwi. Rządzili krajem dobrze, wszyscy ich słuchali, mieli piękne miasta i wsi, jeździli na polowanie z sokołami, za królową szło dwunastu ślicznych paziów w kapeluszach z piórami.

Król miał rycerzy w zbrojach, takich odważnych, że i smoka się nie bali, ale więcej, niż to wszystko, cieszył ich syn jedynak, bo też był piękny, szlachetny, odważny i rozumny, jak prawdziwy królewicz. Myśleli sobie rodzice z pociechą, że jak syn dorośnie, to się ożeni, jak się ożeni, będzie miał znów syna, żeby było komu rządzić krajem; ale tu właśnie czekało ich zmartwienie, syn dorósł, żenić się nie chciał. Napróżno wozili go rodzice do różnych panien, napróżno na balach, na polowaniach, pokazywali najładniejsze, żadna mu się nie podobala, każdej coś zarzucił:

Ta zła, krzykliwa,
A ta obraźliwa,
Ta rączki brudne miała,
A ta się nie cesała.

Biedni królestwo martwili się, ale to nic nie pomagało, królewicz całował ręce rodziców i szedł w las ze strzelbą, a tymczasem matka aż popłakiwała, a ojciec groził tylko palcem i mówił: — „Przyjdzie kryśka na Matyska”, aż i przyszła, a było to tak: zapędził się daleko w las za zwierzyną piękny chłopiec i dostał się w taką gąszcz, że drogi ani śladu, więc idzie i idzie, a tu już słońce na zachodzie, aż zobaczył chatkę pustelnika. Ucieszony pobiegł do niej królewicz, puk, puk, w okienko, zapukał i wszedł rad, że odpocząć może. Pustelnik był bardzo stary, znał rodziców królewicza, nakarmił go i napoił, a potem zaczął go pytać i pytać, aż się dowiedział, że królewicz żony znaleźć nie może.

— Na to ja ci poradzę — powiedział staruszek — właśnie słońce zachodzi, pokażę ci panny, co ci się pewnie spodoba:

Królewicz zdziwił się bardzo, zkąd w lesie żona? ale młodzi powinni słuchać starszych, poszli więc i zaszli na łączkę wśród lasu, a za łączką był staw, taki czysty, że wszystkie rybki w nim widać. Schowali się za drzewa, czekają, a wtém:

Tam gdzie stały trzy buki,
Przyleciały trzy kruki,
Pióreczka zrzuciły,
I w wodę wskoczyły.

Królewicz patrzy, a tu nie kruki, tylko śliczne trzy panny w wodzie się pluszczą, w sukienkach ze srebra, co na wodzie migotało, jak księżycowe światło, a włosy jedna miała jasne, jak len, druga czarne, jak krucze piórka, trzecia złote, aż iskry po nich latały. Królewicz patrzy i oczom nie wierzy, dziewczęta go nie widzą, pluszczą się i chichocą, aż zębki, jak perełki, w usteczkach migocą, wodą na siebie rzucają i słodko się wołają, a królewicz patrzy, i patrzy, i patrzyłby tak bez końca, do zachodu miesiąca, gdyby go pustelnik nie obudził z tego zadumania, pytając, która najpiękniejsza? Jak tu wybrać? i ta ładna, i ta ładna, a ta jeszcze ładniejsza, ale kiedy się namyśla, dziewczęta jednej chwili wyskoczyły na brzeg:

W piórka się ubrały,
I w świat poleciały,

(d. c. n.)

S Z A R A D A (Malina z Siedlec).

Pierwsza i druga, to zwierzę domowe,
Korzyści dosyć z niej ludzie odnoszą,
Mlekiem swém nieraz zastępuje krowę,
A sierść i skóra też korzyść przynoszą.
Drugie przyimek, zaś *pierwsze i trzecie*,
Niepięknej mody okazy,
Na głowach wielu dam dotąd znajdziecie,
Choć je wysmiano sto razy.
Wszystko stanowi ludność wojskową,
Albo potrawę niezawsze zdrową,
Gdyż to jest grzybów gatunek taki,
Co się nazywa

ROZWIĄZANIE DO N-ru 51-go.

Zadania konikowego:

Mądrój głowie dość na słowie.

Skrzynka do listów.

Kamelia różowa, pomimo pośpiechu, napisała liścik bardzo porządnie i nie miała potrzeby za niego przeproszać. Autorka „Garbuska” ucieszy się pewnie wiadomością, że ta powiastka wyjdzie się kochanej Kamelii najcudniejszą ze wszystkich, jakie były drukowane w naszym piśmie.

Jaskółka z nad Prypoci tak rzadko się odzywa, a miłe to musi być ptaszę, radzibyśmy bliżej się z niem zapoznać.

Pokrzywa ślicznie mówi, że wzięłaby chętnie na siebie garbek Anielci, byle był tak dobrą, jak ona. Tytuł „Złotego Pazia” zmieniła autorka na „Złote pacholę”.

Malina z Siedlec znajdzie w ostatnim liście Kazia wiadomości o książkach ludowych; powtarzamy tu raz jeszcze, że wszystko, co wychodzi pod firmą Kazimierza Promyka i Józefa Grajnera jest bardzo dobre. Malina ma słusność, że między zawsze się ma dość blisko siebie i tę przedewszystkiem wspierać należy. „Kmiotek” dawniejszy wyczerpany.

Kuropatwa z nad Ikopetiu, po długim milczeniu, przypomniała się dobrym uczynkiem. Dziękujemy serdecznie.

Kalina ucieszyła nas bardzo miłym liścikiem, któregośmy oddawna wyglądali. Dzięki Bogu, że kochana Kalina przyszła do zdrowia po tak ciężkiej, jak sądzimy z liściku, chorobie. Konkurs robótek urządzimy koniecznie tej wiosny. Wielka to przyjemność dla nas, a zapewne i dla autorki „Garbuska”, że ta powiastka tak się podobała czytelnikom.

Wielkopolanka takie miłe i serdeczne liściki pisuje, że radziłyśmy jej dogodzić z owemi łamigłówkami, ale niestety! były w nich różne braki i niedokładności, więc nie mogły być wydrukowane. O zakładach naukowych, istniejących w miejscowościach oddalonych od Warszawy, nie możemy udzielać dokładnych wiadomości.

Sarence z nad Morocz dziękujemy serdecznie za wiadomości, które są wszystkie bardzo zajmujące dla nas i prosimy o dotrzymanie przyrzeczenia. Do grona stałych korespondentek Sarenka już jest zaliczona.

Muszelka z nad Teterowa myli się, sądząc, że p. Niemojowski tylko dla znajomych pańienek zagadki układa. Przeciwnie, zna on je tylko z pseudonymów, pewnie też z kolei i Muszelce zagadka się dostanie.

Amor rzeczywiście niezwykle pseudonym sobio wybrał, nie darmo tak długo się namyślał. Bardzo serdecznie witamy nowego czytelnika i korespondenta. Łamigłówkę zamieścimy, jeżeli się okaże bez myłki.

Cyganeczce z nad Horynia polecamy gramatykę Boczylińskiego, geografii nowszej żadnej niema, chyba Jeskego, a dla starszych Guthe'go.

Jagur z nad Wisły zadziwił nas swoim pytaniem co do zań konkursowych, bo przy każdym wyraźnie ogłaszamy, że wszyscy czytelnicy i czytelniczki należąc do nich mogą do lat 15-tu. Pańienki znacznie więcej nadsyłają odpowiedzi, bo zwykle więcej czasu mają.

Pani M. B. Nie możemy się zobowiązywać do przyjęcia artykułów, o których nie mamy wyobrażenia.

Kochana Brzózko Srebrna! Znam cię. Byłaś u nas ze swoją matką, nazywałeś się Zosia, jesteś jedynaczką. Mnie na imię Urszulka, mam lat dziesięć; mam dwie siostry i brata Michasia, który jest w II-giej. klasie. Zgadnij, kto jestem? Twoja Jaskółka z nad Prypeci.

Najdroższa Kamelijko różowa! Bardzo cię przepraszam, że tak długo milczała. Pisałam na pocztę, ale zgubiłam twój adres, więc może nie pamiętałam go dokładnie i list zaginął. Jak tylko przyjedziecie na wieś, jedźcie zaraz do nas. Twoja Pokrzywa.

Droga Kukułko z nad Sanny! Choć tak daleko mieszkamy od siebie, bo ja na Podlasiu a ty w Lubelskiem, wiem z opowiadania, kim jesteś. Nazywałeś się Lucia, masz lat 8, mieszkasz z kuzynką u cici, dobrej znajomej mojej cici. Ja mam lat 11, nazywam się Ewunia, twoja Pokrzywa.

Kochana Grubulko! Ponieważ jesteś najmłodszą z czytelniczek „Wieczorów”, chciałabym się poznać z tą miłą dziewczeczką, małą, rumianą i tłuściutką, jak sobie cię przedstawiam. Musisz być bardzo zdolna, skoro mając 6 lat, umiesz już czytelnie pisać. Odpisz mi, moja droga, życzliwa Pokrzywa.

Kochana Cyganeczko z nad Horynia! Dziękuję ci za pochlebne o mnie mniemanie, donoszę, że mi na imię Janina, mam rok 15-ty. Mieszkamy od siebie nierównie dalej, niż sądzisz, gdyż ja obecnie przeniosłam się z Siedlec w okolice Konina, nie zmieniając pseudonymu. Twoja Malina z Siedlec.

Droga moja Iskierko! Serdecznie ci dziękuję za miły liścik, który mię nadzwyczaj ucieszył, gdyż to był pierwszy, otrzymany przez „Wieczory”. Na imię mi Jadwiga, rodzeństwa mam 7 i 3 siostry i 4-ech braci, odpisz mi, twoja Kalina.

Kochana Świtezianko! Chciałabym się z tobą bliżej znać, przeto udziel mi szczegółów o sobie. Co do mnie, mam lat 14, mieszkam na wsi, uczę się w domu, Kalina.

Miła Różyczko biała! Bardzo mi się twój pseudonym podoba; doba; napisz mi o sobie, posyłam ci szaradę, odgadniesz ją wkrótce, bo jest bardzo łatwa, ściskam cię Kalina.

Kochana moja Brzózko płacząca! Zawsze ci wdzięczna jestem, żeś się pierwsza do mnie odezwała i donoszę, że dnie spędzam na nauce i przechadzce, wieczorem zaś bawię się z siostrzyczkami, gimnastykuję, gawędzę, uczę się lekcyj, czytam lub maluję. Sarenka z nad Morocz.

Najdroższa mi Kamelio różowa! Dziękuję ci serdecznie za obiecaną łamigłówkę i posyłam nawzajem szaradę. Denieś mi, czy porabiasz. Ja mam 3 siostry, innych szczegółów o mnie dowiesz się z Nr. 34 z liściku pisanego do Brzózki. Ściskam cię serdecznie, Sarenka z nad Morocz.

Droga Czarnuszko! Gdybym miała dość na to siły i siłowności, jużbym dawno była po drugiej stronie Morocz u kochanych sąsiadeczek. Ponieważ jednak jestem tylko dziewczynką, muszę więc czekać cierpliwie zamarznięcia rzeki, aby móc do ciebie i Bładę Różyczkę uściskać, jak to czynię teraz przez „Wieczory”. Sarenka z nad Morocz.

Drogi Kukułko i Bocianiczko z nad Sanny! Dziękuję ci mocno, znajdując was, lube zwiastuny wiosny, na początku zimy. A może Bocianiczkę z powodu słabych sił towarzyszeki wygnali ze swego podróżnego grona? Kukułeczkę upraszam o przysposobienie mi gresiwa na wiosnę, a Bocianiczkę zapraszam do naszego starego gniazda bocianiego, nad stawem pełnym żab. Dla Kukułki znajdzie się w ogrodzie dość owadów. Do widzenia zatem drogim ptaszynom, przylatujcie do życzliwej Sarenki z nad Morocz.

Kochana Czarnuszko! Liścik twój sprawił mi wielką przyjemność, bo był to pierwszy, otrzymany przez „Wieczory”. Al skądże mogłaś odgadnąć mój pseudonym? Czy umiesz swoją rolę? Ja już się całej nauczyłam, ale pewno odegramy komedijkę naszą, nim ten list dojdzie do ciebie. Zobaczymy się pewnie nie zadługo, bo już rzeka zaczyna zamarzać, do widzenia, twoja To polka srebrna.

Moja Muszelko z nad Teterowa! Mam nadzieję, że my z tobą utrzymamy korespondencję, bo jak widzę, ty, moja droga, częściej i wytrwale pisujesz do „Wieczorów”. Znam cię moją Muszelko, i kocham serdecznie, Zima.

Do wszystkich. Przesyłając liściki do innych korespondentów, należy je pisać na osobnych kartkach i nigdy nie przysyłać więcej, jak jeden na raz, bo jeśli jedna korespondentka przysłała za dużo, dla innych miejsca zabraknąć może.

Dla ubogich dzieci na gwiazdkę przystali. Rosa napow. 21 kop. A. S. kop. 30. Poziomka z siostrzyczką rs. 2. Pięć młodych dziewczątek kwotę pięcienną, nie wymienioną w liście przez nieuwagę wrzucono ją do skarbonki, nie policzywszy.

Paczki z ubraniami i zabawkami. Pszczółka litewska i jej siostrzyczki. 6 letnia Irenka fartuszek własnej roboty. Wołynianka Figielek i Trawka z nad konika. Niezapominajka z nad Horynia Figlarka. Jaskółeczka. Jadwinia X. Dzieci z Wradyjówki Srocza z nad Bystrzycy. — Słomka i Konfiturka. — Pliszka z nad Gopła. — Podlasianka. — Poziomka z siostrzyczką. — Marynia D. — Stokrotka z nab Stochodu.

Wszystkim, którzy nam przesłali życzenia świąteczne, serdecznie dziękujemy, przesyłając wzajemne.